

**MAGIA**  
• • • • •  
**ŻYCIA**

**DR WAYNE W. DYER**  
**LYNN LAUBER**

# MÓJ NAJLEPSZY NAUCZYCIEL

Od nienawiści do miłości



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*lepiej - lepsze filtry*

MÓJ NAJLEPSZY  
NAUCZYCIEL

## MAGIA ŻYCIA

Książka powstała w ramach unikalnego projektu inspirowanego głosami Czytelników.

Wybitnym autorom, związanym z duchową stroną życia, zaproponowano spisanie krótkich historii „z życia wziętych”, które ilustrują cud – doskonałość naszego istnienia, magię życia. W projekcie wzięli udział m.in. Gregg Braden, Louise L. Hay i dr Wayne W. Dyer.

Każdy z nich stworzył swoiste przesłanie prawdziwego obrazu życia danego każdemu z nas.

W skład serii „Magia życia” wchodzi:

1. Malując przyszłość. Od tragedii do szczęścia  
– Louise L. Hay i Lynn Lauber
2. Mój najlepszy nauczyciel. Od nienawiści do miłości  
– Dr Wayne W. Dyer i Lynn Lauber
3. Kwantowa więź. Od fizyki do cudów – Gregg Braden i Lynn Lauber (premiera w listopadzie 2012)

Kolejne tytuły w przygotowaniu.

**DR WAYNE W. DYER  
LYNN LAUBER**

# MÓJ NAJLEPSZY NAUCZYCIEL

Od nienawiści do miłości

W oparciu o scenariusz filmowy  
autorstwa Kristen Lazarian i Michaela Goorjiana

Sluchaj Radia HayHouse na [www.hayhouseradio.com](http://www.hayhouseradio.com)



**STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII**  
*jeszcze lepsze jutro*

REDAKCJA: Mariusz Warda  
SKŁAD: Tomasz Piłasiewicz  
PROJEKT OKŁADKI: Piotr Pisiak  
TŁUMACZENIE: Bartłomiej Kotarski

Wydanie I  
BIAŁYSTOK 2012  
ISBN 978-83-7377-547-3

Tytuł oryginału: *My greatest teacher*  
Copyright © 2012 by Wayne W. Dyer  
Originally published in 2012 by Hay House Inc. USA Ltd.

© Copyright for the Polish edition by Studio Astropsychologii, Białystok 2012.  
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

Autorzy niniejszej książki nie udzielają porad medycznych ani nie zalecają stosowania żadnych technik jako terapii w przypadku jakichkolwiek problemów fizycznych, emocjonalnych ani medycznych bez bezpośredniej bądź pośredniej konsultacji z lekarzem. Zamiarem autorów jest jedynie przedstawienie ogólnych informacji, które ułatwią podróż ku emocjonalnemu i duchowemu dobrobytowi. Masz oczywiście prawo stosowania informacji zawartych w niniejszej publikacji na własny użytek, jednak w takim przypadku ani autorzy, ani wydawca nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za twoje czyny.

Niniejsza książka jest opowieścią fikcyjną. Imiona, postaci, miejsca i wydarzenia są wymysłem autorów. Jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, miejsc lub osób żyjących bądź zmarłych jest czysto przypadkowe.



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*jeszcze lepsze jutro*

15-762 Białystok  
ul. Antoniuk Fabr. 55/24  
85 662 92 67 – redakcja  
85 654 78 06 – sekretariat  
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt  
85 654 78 35 – [www.talizman.pl](http://www.talizman.pl) – detal  
sklep firmowy: Białystok, ul. Antoniuk Fabr. 55/20

Więcej informacji znajdziesz na portalu [www.psychotronika.pl](http://www.psychotronika.pl)

PRINTED IN POLAND

„Wybaczenie to zapach,  
który fiołek zostawia na stopie,  
która go zdeptała”.

– Mark Twain





---

---

## *Spis treści*

---

---

Rozdział 1 .....	9
Rozdział 2 .....	25
Rozdział 3 .....	31
Rozdział 4 .....	43
Rozdział 5 .....	53
Rozdział 6 .....	69
Rozdział 7 .....	85
Rozdział 8 .....	97
O autorach .....	101







---

## Rozdział 1

---

Kaplica *Chapel of the Chimes* była jednopiętrowym budynkiem z beżowej cegły. Przypominała siedzibę banku i miała tam nawet okno do obsługi klientów zmotoryzowanych, które teraz zabito deskami. Ryan Kilgore dostrzegł je, przejeżdżając przez parking.

Zachowywał się jakby szukał miejsca na postój, ale tak naprawdę po prostu czekał. W czasie wielogodzinnej podróży był pod działaniem jakiejś dziwnej adrenaliny, teraz jednak, gdy w końcu dotarł na miejsce, poczuł nieprzyjemny smak kwasu wypełniającego żołądek. Nie miał pewności, czy w ogóle powinien wchodzić do środka. Przyszła mu ochota, by znaleźć wolną ławkę i cieszyć się ciepłem letniego słońca, ale teraz nie było już na to czasu.

Ryan był czterdziestopięcioletnim chudym i gładko ogolonym mężczyzną o krótko przyciętych włosach koloru srebrny blond i pełnych melancholii oczach. Ludzie zawsze powtarzali mu „Uśmiechnij się, nie jest tak źle!”, ale Ryan nie wiedział, o co im chodzi.

Już od godziny kręcił się po małym miasteczku na przedmieściach Detroit w stanie Michigan. Po nocy spędzonej w tanim hotelu przy autostradzie nie mógł

znaleźć kawiarni. Kawę znalazł jedynie w restauracji McDonald's, miejscu znienawidzonym przez jego syna Logana, który dokładnie wiedział, ile tłuszczu zawiera Big Mac. Ryan rozpaczliwie potrzebował jednak kofeiny i soli, dołączył więc do posuwającej się w ślimaczym tempie kolejki pojazdów i w akcie desperacji zamówił dużą kawę, kanapkę z jajkiem i placek ziemniaczany. Pochłoniął jedzenie, siedząc we wciąż pracującym samochodzie, ale przez pośpiech zaplamił sobie spodnie tłuszczem. Następnie starannie ukrył torbę i kubek po kawie pod siedzeniem, jak gdyby były to co najmniej strzykawki po narkotykach i ponownie powrócił na parking przy kaplicy – ten sam, przez który przejeżdżał już trzykrotnie.

W końcu zaparkował. Siedząc w samochodzie przy otwartych oknach, obserwował, jak starzy ludzie powoli wpełzają do środka, wspomagając się laskami i balkonikami. Mężczyźni mieli na sobie niedopasowane garnitury pachnące cedrem i kulkami na mole. Kobiety o szerokich biodrach i zwiotczonych twarzach w okularach z przyciemnionymi szklami ubrane były w kwieciste sukienki i małe żakiety lub obszerne kostiumy z mosiężnymi guzikami. Były to stroje, które pamiętał z czasów, gdy był w kościele jako dziecko.

Zanim wysiadł z samochodu, wyjął z kieszeni wyblakłe zdjęcie, które nosił ze sobą od dawna. Przez ponad czterdzieści lat jego głównym zajęciem było poszukiwanie mężczyzny z fotografii – zaginionego ojca.

Był ciepły, sierpniowy dzień, a wszystko wokół połyskiwało złotym blaskiem. Ryan wpatrywał się w lustro

wsteczne – próbował się ogarnąć i nadać swojej twarzy wyraz pełen autorytetu i siły, tak jak robił to przed zajęciami. Wysunął do przodu podbródek i podniósł brwi. Nie przyniosło to rezultatu. Gdy zerknął w boczne lustro, spostrzegł, że wygląda wyraźnie gorzej niż zwykle. Był przytępiony i wycieńczony.

„Obiekty w lusterku wstecznym są bliższe, niż może się wydawać” – głosił biały napis na powierzchni lustra, ale Ryan z początku mimowolnie przeczytał „starsze, niż może się wydawać”. Ostatnio robił to niemal bez przerwy – przekręcał znaki i nagłówki. Co się z nim działo?

Tuż obok niego, na siedzeniu pasażera leżało kilka otwartych pudeł z książkami z jego imieniem i nazwiskiem na okładce i zdjęciem na rewersie:

DR RYAN KILGORE, ST. JOHN'S UNIVERSITY

*Amorficzna Ziemia: W jaki sposób niszczymy naszą pełną różnorodności planetę, kultura po kulturze.*

Druga książka nosiła tytuł „Gromadzenie danych podczas rytuałów plemiennych na przykładzie plemienia Mayoruna z Brazylii”.

Książki traktowały o zagadnieniach będących istotą jego przeszło dwudziestoletniej pracy na uniwersytecie St. John's mieszczącego się w nowojorskiej dzielnicy Queens. Zaczynał jako pomocnik pracujący przy biurku w wynajętym pomieszczeniu, a skończył jako profesor – z własnym biurem i eleganckim zdjęciem na stronie internetowej uczelni. Wykładał socjologię, ekologię i zoologię, choć jego praca doktorska dotyczyła antropologii

społecznej. Atutem nauczania była dla niego możliwość dysponowania okazałym budżetem, dzięki czemu mógł swobodnie podróżować. Doceniał także płynący z tytułu naukowego prestiż – przy każdej okazji posługiwał się skrótem „dr” przed nazwiskiem, a gdy mylono go z doktorem nauk medycznych, był tym tak uradowany, że nigdy nie korygował tej pomyłki.

Jak dotąd napisane przez niego książki trafiały do bardzo wąskiego grona odbiorców, w większości studentów, gdyż na swoich zajęciach polecił obie pozycje jako lekturę obowiązkową. Nie było to najtrafniejsze posunięcie, ale uczynił tak, ponieważ uwielbiał wchodzić do sali, w której siedziało dwadzieścia osób trzymających w ręku książkę z jego imieniem i nazwiskiem na okładce.

Wydawało się, że nikt inny nie będzie zainteresowany zgłębianiem wiedzy na temat zalet zapomnianych przez świat plemion. Jednak to właśnie takie tematy ekscytowały Ryana – cywilizacja, która niechybnie upadnie, jeżeli ludzie nie docenią potęgi wiedzy starożytnej. Zdaniem jego żony, Sophie, wyrażenie powyższego przekonania nie było najlepszym sposobem na rozpoczęcie rozmowy. Podczas dziesięciu lat małżeństwa kobieta wykształciła w sobie pełen cierpliwości wyraz twarzy, który Ryan widywał niegdyś także u swoich byłych partnerek. Miał złudną nadzieję, że gdy na własną rękę wydrukuje swoje książki, pojawi się jakiś wydawca, który będzie chciał wykupić do nich prawa. Taka właśnie powszechna opinia panowała wśród profesorów z jego wydziału, a po jakimś czasie Ryan też tak zaczął myśleć.

Nic podobnego się jednak nie wydarzyło. Miał dwie szafy pełne książek, które przeczytało nie więcej niż 50 osób. W jego głowie pojawiła się myśl, że może da jeden egzemplarz ojcu. Ale co dalej? Ojciec zaniemówi z wrażenia pod wpływem talentu porzuconego przez siebie syna? Tego typu fantazje były zbyt żalosne, by w ogóle o nich myśleć. Ryan zarzucił na pudła z książkami ręcznik, jakby chciał ukryć je nawet przed samym sobą.

Nagle zadzwonił telefon – to była Sophie. Gdy wyjeżdżał wczoraj, była w trakcie przygotowań do przyjęcia z okazji dziewiątych urodzin Logana – prawdopodobnie dzwoniła, by ponarzekać na „brak zaangażowania” ze strony Ryana. Nie odebrał połączenia i włożył telefon z powrotem do kieszeni. To sprawa na później, on miał teraz wystarczająco dużo na głowie.

Ryan raz jeszcze spojrzął na wyblakłe zdjęcie ojca. Kiedy zostało zrobione, ojciec był tęgim mężczyzną po pięćdziesiątce, przystojnym na swój zniszczony sposób, tak jakby rysy jego twarzy uległy erozji pod wpływem złej pogody. Stał przy ciężarówce, miał na sobie biały kowbojski kapelusz, a w jego oczach widać było zadziorność. To właśnie Robert Kilgore, człowiek, który opuścił Ryana i jego rodzinę.

Ryan słyszał wiele historii na temat tego, dokąd udał się jego ojciec i czym zajmował się przez te wszystkie lata – stanowiły one zbitek fragmentów zasłyszanych rozmów oraz wytworów bujnej fantazji Ryana i jego brata z czasów ich dzieciństwa.

Jedna z wersji głosiła, iż Robert podróżował wzdłuż i wszerz kraju, pojawiając się na jarmarkach i festynach,

inna, że harował w stadninach koni na środkowym zachodzie kraju, jeszcze inna, że pracował na żwirowiskach lub w zakładach przetwórstwa rybnego na zachodzie.

– Założę się, że jest pilotem – powiedział raz Dave, starszy brat Ryana. – Prawdopodobnie pracuje dla TWA<sup>1</sup> lub jednej z tych wielkich spółek. Może latać za darmo dokąd tylko chce.

– Myślę, że pracuje w policji – zgadywał Jim, najstarszy z braci. – Pewnie działa pod przykrywką. Może pracuje dla wydziału antynarkotykowego. Na pewno ma jedną z tych uprzęży z kaburą noszonych pod kurtką.

Dla Ryana wszystkie te wersje brzmiały jednakowo niedorzecznie. Trudno mu było wyobrazić sobie ojca wykonującego jakąkolwiek pracę. Było jednak kilka opinii, które słyszał wielokrotnie – jego ojciec był ponoć bardzo porywczy, zazdrosny i miał zamiłowanie do ginu. To akurat wydawało mu się wiarygodne. Przez lata matka nie chciała o nim rozmawiać i jedynie potwierdzała podejrzenia chłopców co do tego, iż ojciec ich opuścił.

Ryan wziął głęboki oddech, wysiadł z samochodu i zbliżył się do wejścia prowadzącego do domu pogrzebowego. W kaplicy było zimno, na podłodze leżały wyblakłe dywany, a dookoła rozlegał się stłumiony dźwięk organów. W oddzielonych od siebie pomieszczeniach – opatrzonych nazwami takimi jak „Spokój” czy „Wyciszenie” – ludzie cicho rozmawiali lub siedzieli na rozkładanych krzesłach. Większość kaplic miała ekrany, na których wyświetlano raz za razem zdjęcia zmarłych.

---

<sup>1</sup> Trans World Airlines – amerykańskie linie lotnicze, w 2001 roku wykupione przez inną spółkę, American Airlines.

Ryan zajął do jednej z sal, widząc jak w ciszy na ścianie raz po raz pojawiają się zdjęcia z narodzin, wręczenia dyplomów i ślubu – rodzaj hołdu dla leżącego w trumnie mężczyzny ubranego w szary garnitur. Hołdu, który zdawał się nikogo nie interesować.

U babci Ryana wszystko wyglądało inaczej. Gdy wszedł do sali o nazwie „Spokój”, zobaczył tablicę informacyjną, do której przyczepiono kilka wyblakłych zdjęć z Polaroidu. Nabożeństwo pogrzebowe już się zaczęło, a Ryan trzymał głowę nisko, nie chcąc, by go zauważono.

Z przodu sali, za migocącymi świecami, pastor pełnym patosu głosem przemawiał na temat odkupienia, wierności i pobożności. Sprawiało to wrażenie, jakby mówił o jakiejś bliżej nieznannej starej kobiecie, której nigdy w życiu nie spotkał.

Ryan wziął plan nabożeństwa od rumianej kobiety wskazującej przybyłym miejsca. Miała fryzurę typu flip, białą plisowaną bluzkę oraz koliste kolczyki i spojrzała na niego tak, jakby go znała. Plan rozpoczynał się od słów „W spokoju” i ozdobiony był motywem lilii oraz rozmazanym zdjęciem kobiety, na widok którego Ryan o mało nie padł na kolana.

*Anne Mary Kilgore.* Prawdopodobnie było to zdjęcie wykonane w kościele. Widać było na nim bladą twarz kobiety, poorly zmarszczkami i patrzącą w stronę obiektywu z surowym wyrazem. Twarz zdawała się mówić: „*Taka właśnie jestem. Albo ci się to podoba, albo nie*”. Ryan gwałtownie usiadł w jednym z ostatnich rzędów.

Znów patrzył na matkę swojego ojca – kobietę, której nie widział od ponad czterdziestu lat. Była wtedy na pik-



niku, na który zabrała go matka tuż po tym, jak odszedł od nich ojciec. Jej obecność miała zapewne dać mu poczucie bycia z rodziną. Zapamiętał Anne Mary jako kobietę chudą i zgorzkniałą. Nie była to babcia, której się spodziewał. Przytulanie się do niej sprawiało wrażenie obejmowania drucianej siatki.

Cóż można było powiedzieć o życiu Anne Mary Kilgore? Sądząc po biuletynie kościelnym, niewiele – poza datą urodzenia i ślubu oraz listą dzieci, na której drugą pozycję zajmował zaginiony niecnota, ojciec Ryana.

Babcia Anne spoczywała w wyszukanej, eleganckiej trumnie wystawionej w przedniej części sali, a jej zniszczona twarz widoczna była nawet z drugiego końca pomieszczenia. Ryan stał w wolno posuwającej się naprzód kolejce i starał się to wszystko ogarnąć. Pomieszczenie wypełnione było bukietami kwiatów rzadko widywanych na co dzień, a co dopiero w takich kombinacjach: ogniste mieczyki, aromatyczne goździki i woskowo blade lilie wydzielające mdłą słodycz. W żołądku Ryana przewracało się zjedzone rano tłuste jedzenie i wypita kawa.

Sama trumna wyglądała jakby stanowiła najbardziej luksusowy z dostępnych modeli – obszyta satyną i wykonana z materiału przypominającego tytan – sprawiała wrażenie statku kosmicznego mającego zabrać babcię Anne do innego świata.

Kto za to wszystko zapłacił i dlaczego? To wszystko dla kobiety, która z pewnością w całym swoim życiu nigdy nie miała w rękę prawdziwej satyny? Jeśli pamięć go nie myliła, babcia nosiła podomki, fartuchy i zdarte buty.

Dlaczego nikt nie kupił jej futra lub kwiatów, gdy jeszcze żyła? Wtedy mogłaby się przynajmniej tym wszystkim nacieszyć. Jaki jest sens opatulania ją w satynę teraz – u progu wieczności lub czegokolwiek, co ją obecnie czekało?

Przerwał myśl. Sophie twierdziła, że zawsze tak się zachowywał, gdy ogarniały go głębsze uczucia – rozpraszał sam siebie za pomocą ironii i argumentów intelektualnych.

– Zachowujesz się tak, jakby wszyscy pochodzili ze świata twoich książek o antropologii, jakby nikt nie miał z tobą nic wspólnego.

– Nie wiem o czym mówisz – odparł chłodno Ryan.

– Ha – powiedziała Sophie – Znowu to samo. Zawsze jesteś ponad wszystkim. Wydaje ci się, że każdego zaszkladkowałeś i jesteś od wszystkich lepszy.

– To niedorzeczne! – Ryan rozumiał, że nie jest w stanie jej przekonać i w końcu przestał próbować.

W rzeczywistości nawet jego żona zdziwiłaby się, gdyby odkryła, jak niskie miał o sobie mniemanie, ile niepewności tkwiło pod maską pompatyczności i w jak wielkim stopniu potrzeba reasekuracji napędzała jego chęć udowodnienia swojej racji i powiedzenia ostatniego słowa w każdej dyskusji.

Ryan uświadomił sobie, że w pomieszczeniu, w którym się znajdował, obecnych jest zapewne pełno jego kuzynów, siostrzeńców i ciotek. Nikt z tych ludzi go nie obchodził, zależało mu na odnalezieniu tylko jednej osoby. Jeśli nie mógł zobaczyć swojego ojca, nie chciał patrzeć na nikogo. Wyjątkiem była zmarła po osiemdzie-

sięciu dziewięciu latach niewątpliwie ciężkiego i pełnego rozczarowań życia – babcia.

Ryan stał naprzeciw trumny, widząc mroźne oblicze i skrzyżowane ręce babci. Ubrana była w jedwabną, niebieską sukienkę, na szyi miała krzyż a w uszach perłowe kolczyki. Widoczna była tylko do pasa, resztę ciała zasłonięto tak, jakby była zbyt zniszczona lub zbyt delikatna dla oczu przybyłych gości.

Upływający czas zmiękczył jej rysy, ale nadal wyglądała na zagniewaną kobietę – kogoś, komu nieszczęście wyryto na ciele nożem.

Niezależnie od tego, co czuł, kobieta, którą miał przed sobą była z tej samej krwi, co on, a jej DNA było dowodem na istnienie jego ojca. Właściciel domu pogrzebowego przyozdobił głowę zmarłej sztywnymi siwymi lokami, usta niedbale umalował różową szminką, a policzki uwydatnił za pomocą jakiejś substancji, o której Ryan wolał nawet nie wiedzieć. Gdy przez chwilę znalazł się w pobliżu trumny, wyciągnął dłoń i dotknął ręki babci, czego od razu pożałował. Była zimna jak beton, twarda i pokryta mroźną powłoką skóry. Czymże jest życie, jeśli nie ciepłem i krwią?

Zamknął oczy.

– Cześć babciu – wyszeptała jakaś stara część jego duszy, jak gdyby spodziewając się, że na dźwięk tych słów ona nagle ożyje. Znowu otworzył oczy i zobaczył, że teraz wygląda bardziej nieszczęśliwie i przerażająco niż kiedykolwiek.

Odwrócił się i idąc wzdłuż żółtych róż układających się w napis „Matka”, nerwowo badał oczami tłum zgromadzonych. Trzeba było wysłać jakieś kwiaty.

Miał wrażenie, że obserwuje go ktoś lub coś znajdujące się ponad nim – kamera przemysłowa zawieszona wysoko na niebie. To było to samo uczucie, które poczuł w przymierzalni. Spojrzał w górę i rozejrzał się po krokwiach. Niczego tam nie było.

Na pierwszej ławce w jednym z bocznych rzędów Ryan ujrzał tył potężnego siwowłosego mężczyzny bacznie studiującego program nabożeństwa. Ryan ponownie spojrzał na zdjęcie ojca. Czyżby to był on?

Podszedł bliżej, chcąc się przyjrzeć. Co by zrobił, jeśli po tylu latach spotkałby ojca? Co by powiedział? Zrobiłby scenę, upokarzając go za ból i cierpienie, do których się przyczynił? A może zalałby się łzami, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa albo tłumiąc w sobie gniew i tęsknotę?

Dziś nie dane mu było się tego dowiedzieć.

Mężczyzna odwrócił głowę, a Ryan ujrzał jego ostre rysy twarzy i małe czarne oczy. To znowu nie on.

Ludzie zaczęli już wychodzić, ale Ryan wciąż przeszukiwał wzrokiem tłum.

Zauważył kobietę po drugiej stronie nawy. Wyglądała na około sześćdziesiąt lat, miała krótkie postrzępione włosy, szczupłą figurę i pełne ciepła oczy, które na jego widok jakby zablęśły na znak, że go rozpoznała. Uśmiechnęła się lekko. Była to Dorothy Stouten, młodsza siostra ojca. Ryan zmagął się ze zbyt silnymi emocjami, by móc z kimkolwiek rozmawiać, więc szybko odwrócił się i pomaszerował w stronę drzwi, by wrócić do samochodu.

Dorothy zaczepiła go na parkingu.

– Ryan, to ty? Zaczekaj!

Zatrzymał się i spojrzał jej w twarz.

– Z trudem cię rozpoznałam – powiedziała kobieta.

Pomimo dręczącego go smutku, Ryan poczuł się urażony jej słowami. Co miała przez to na myśli? Był przecież w o wiele lepszej formie, niż większość obecnych tu mężczyzn z opasłymi brzuchami zwisającymi poza białe pasy i wystającymi z kieszeni spodni paczkami papierosów. Przez dwadzieścia lat Ryan ćwiczył w akademickiej siłowni, jak gdyby przygotowując się na jakąś katastrofę, podczas której powinien być w formie. Kiedyś wierzył, że dzięki temu jest bardziej odporny i cieszy się lepszym zdrowiem. Nawet przed Sophie ukrywał fakt, że mimo tych starań, ostatnie badania wykazały w jego organizmie zbyt wysoki poziom cholesterolu i trójglicerydów.

– Jak to możliwe – zapytał swojego lekarza.

– Wiele rzeczy się dziedziczy – odparł lekarz. To była ostatnia rzecz, jaką Ryan chciał usłyszeć. Lekarz nie miał pojęcia, jak wiele trucizny mają w sobie te słowa. Szukał ojca, ale nie znaczyło to, że chciał mieć z nim cokolwiek wspólnego.

Tak naprawdę wszystko, czego do tej pory w życiu dokonał – każda katorżnicza praca, której podjął się w liceum, każde zajęcia, na które uczęszczał i każdy zaszczędzony dolar na koncie emerytalnym – stanowiło przeciwwagę postępowania ojca i miało na celu udowodnienie, że nie jest niezaradny i nieodpowiedzialny, lecz świątły i wykształcony. Ryan był dumny ze swojej kariery uniwersyteckiej, wierności wobec Sophie, umiejętności zarządzania pieniędzmi, a także ze swego podej-

ścia do syna, bo choć był wobec niego nieco surowy, nie sądził, iż mogłoby to być dla dziecka krzywdzące. Oczywiście miał też cechy niebędące powodem do dumy. Sophie chętnie mu o nich przypominała: był niecierpliwy, drażliwy i odnosił się lekceważąco do innych. Nikt nie jest jednak doskonały. Robił przecież, co w jego mocy i po prostu grał kartami, które mu rozdano.

Słowa Dorothy przerwały jego refleksje.

– Nie mieliśmy pojęcia, że tu będziesz, kotku. Po ceremonii wszyscy idziemy do domu. Może wpadniesz?

– Przykro mi, ciociu. Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę nie mogę. Wpadłem tylko, by pożegnać się z babcią.

Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałby z nią iść – tak naprawdę powinien był to zrobić, biorąc pod uwagę, iż podróż do tego zapomnianego przez świat miasteczka zajęła mu sześć godzin. Jednak słowa Dorothy dotyczące nierozpoznania go zupełnie odebrały mu entuzjazm.

– Twoja babcia ucieszyłaby się, wiedząc, że przebyłeś taką drogę tylko po to, by tu być – powiedziała Dorothy. – To jest najważniejsze.

Za jej plecami otworzyły się drzwi kaplicy. Ryan zaniepokoił się, ale tylko do chwili, gdy zobaczył, że w drzwiach stoi jedynie nastoletnia dziewczyna.

Przełknął ślinę i spojrzał na Dorothy. Musiał o to zapytać. – Mojego ojca tu nie ma? Nigdzie go nie widziałem.

Dorothy spojrzała na niego ze współczuciem. Zapewne ona również miała swoje rozterki związane z bratem.

– Nie, nie ma go tu. To dlatego przyjechałeś?

– Wydawało mi się, że nawet on ma w sobie tyle przyzwoitości, by pojawić się na pogrzebie własnej matki. Powinienem być się domyślić.

Dorothy zachichotała gorzko. – Pewnie się boi.

– Boi się... czego? Czego u licha miałby się bać?

– Na przykład spotkania z tobą.

– Nawet by mnie nie poznał – powiedział Ryan.

– Ani ciebie, ani twoich braci – dokończyła Dorothy.

– Albo, co gorsza, twojej mamy.

– Tego powinien się bać. Mogłaby go błyskawicznie wysłać do więzienia.

– A właśnie, jak ona się ma?

Ryan stał na parkingu, a w jego głowie kotłowały się sprzeczne odpowiedzi. Nie chciał mówić prawdy – że jego matka, która ponownie wyszła za mąż, jest zapewne w gorszej sytuacji niż kiedykolwiek. – Całkiem dobrze – skłamał – lepiej niż wtedy, gdy starała się nami zajmować, nie mając grosza przy duszy.

– Co byś zrobił, gdybyś jednak go tu spotkał? – spytała Dorothy.

– Nie jestem pewien. Może porozmawiałbym z nim.

Spojrzała na niego tak, jakby nie wierzyła w ani jedno słowo. – Naprawdę? O czym?

Jej wścibstwo zaczynało działać mu na nerwy.

– Jest wiele tematów, uwierz mi – przez chwilę patrzył na nią badawczo. – Wiesz, gdzie on teraz jest?

Pokiwała przecząco głową, ale nie chciała spojrzeć mu w oczy.

Stali razem w milczeniu mijani przez tłum nowo przybyłych gości, głównie starszych kobiet niosących naczy-

nia przykryte folią aluminiową. Ryan pomyślał, że jednocześnie musiały się odbywać trzy czy cztery pogrzeby. W powietrzu unosił się zapach makaronu, sera i smażonego mięsa mielonego. Zapach ten na chwilę przeniósł go do chwil z dzieciństwa, zanim jeszcze trafił do rodziny zastępczej i zanim jego prawdziwa rodzina się rozpadła.

– Cieszę się, że przyjechałeś Ryan. Nawet mimo tego, że nie możesz dłużej zostać. Nikt z rodziny od lat nie kontaktował się z twoim ojcem. Może tak jest lepiej. Dla nas wszystkich – powiedziała Dorothy.

– Innymi słowy, wiesz gdzie on jest, ale mi nie powiesz? W porządku, rozumiem – odwrócił się i gwałtownie otworzył drzwi samochodu.

– Zaczekaj chwilę – Dorothy westchnęła, tak jakby podejmowała jakąś osobistą decyzję. – Gdy ostatnio miałam kontakt z twoim ojcem, był w Kalifornii.

Ryan odwrócił się w jej stronę. – W Kalifornii? A dokładnie?

– Właśnie wyszedł z więzienia i zatrzymał się u jakiejś kobiety w pewnym małym miasteczku, Gurn-cośtam. Może Guerneville? Ale to było wiele lat temu. Chyba siedem czy osiem. Kto wie, gdzie teraz może być.

– Czemu trafił do więzienia?

Dorothy odwróciła wzrok od Ryana. – Chyba za napad i pobicie. Zawsze miał skłonność do wyładowywania złości na kobietach. Przynajmniej tak słyszałam.

Ryan krążył w tę i z powrotem, starając się uspokoić. Wieści usłyszane od Dorothy nie były dla niego niespodzianką, ale napełniły jego żołądek złością.



Nawet po tylu latach Ryan wciąż nie mógł uwierzyć, że jego ojciec przez cały ten czas nie starał się z nim skontaktować. Ryan bardzo często starał się zrozumieć, czy w życiu Roberta mogło wydarzyć się coś, co tłumaczyłoby jego porażkę i odejście od rodziny. Czy ktoś się nad nim zęcał albo go zaniedbywał? Nikt jednak nie mógł mu pomóc w znalezieniu odpowiedzi. Nawet Dorothy zdawała się o niczym nie wiedzieć.

– Nasz ojciec pił, a mama wydawała się bardzo odległa, ale zajmowali się nami – powiedziała, gdy ją o to zapytał.  
– Zawsze przy nas byli, chociaż aż tak się nie angażowali. Poza tym chyba nie działo się nic nadzwyczajnego.

– Pozostałe dzieci wyszły na ludzi, czyż nie? – pytał Ryan.

– Tylko twój ojciec trafił do więzienia i tylko on się rozwiódł. Nie mogę powiedzieć, że jesteśmy najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi, ale jesteśmy normalni.

Jeśli siostra jego ojca nie mogła mu pomóc tego zrozumieć, któż był w stanie to zrobić?

– Słuchaj, przepraszam, jeśli byłem wobec ciebie nie miły – powiedział Ryan. – Po prostu chciałbym...

Dorothy podniosła rękę. – Wiem. Pomimo tych wszystkich okropnych rzeczy, które zrobił, wciąż jest moim bratem, pamiętasz? Moje uczucia też zranił – dotknęła jego ręki.

– Uważaj na siebie, kotku.

– Dobrze. – Ryan wszedł do samochodu i otworzył okno.

– Miło było cię spotkać, ciociu Dorothy. Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się przy miłszej okazji. Uruchomił samochód i szybko odjechał.



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
[www.studioastro.pl](http://www.studioastro.pl)



**DR WAYNE W. DYER** – znany na całym świecie autor książek i wykładowca zajmujący się tematyką samorozwoju. Napisał ponad 30 książek, nagrał wiele płyt i filmów oraz wystąpił w licznych audycjach radiowych i programach telewizyjnych.



**LYNN LAUBER** – opublikowała trzy własne książki, a także współpracowała z wieloma innymi autorami. Specjalizuje się w fikcji literackiej, narracjach pamiętnikarskich i twórczości z zakresu rozwoju osobistego. Jej eseje ukazały się w *The New York Times*.

Pomimo kochającej rodziny i spełnienia zawodowego w roli profesora uniwersyteckiego, Ryan Kilgore zawsze czuł głębooki uraz do ojca, który go porzucił tuż po narodzinach. Gdy negatywne emocje zaczynają zbierać żniwo w jego małżeństwie i relacjach z własnym synem, Ryan uświadamia sobie, że musi zrobić krok naprzód i uleczyć niezagojone rany. Wyrusza na poszukiwania ojca i rozpoczyna podróż, która odmieni jego życie.

Inspirująca opowieść o tym, jak zmienić ból i cierpienie w przebaczenie i miłość, a także – jakie nauki możesz czerpać z najtrudniejszych wyzwań. Przed Tobą najważniejsza lekcja.

PATRONI:



Cena: 24,20 zł

ISBN 978-83-7377-547-3



9 788373 775473